KRYSTYNA FRANK
ur. 1915; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Rodzina
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	rodzina

Rodzina

Nasz ojciec umarł bardzo wcześnie, moja młodsza siostra – Barbara - była jeszcze w becie i pracowała u nas niania, która właściwie prowadziła nasz dom. Mama musiała pracować. Ale jacy ludzie byli wtedy uczciwi... Niania dostawała pieniądze, powiedzmy rano na pieczywo, więc szła kupić pieczywo, nie wyliczała się mamie nigdy z tego, co kupuje dla nas. Po pewnym czasie trzeba zapłacić za elektryczność, bo w 1928 roku dopiero założyli nam elektryczność w domu, a przedtem były lampy naftowe. I mama mówi: „No nie mam pieniędzy na zapłacenie". A ona: „ Niech się pani nie martwi, ja tu mam koszyczkowe, które zostało". I dawała mamie te pieniądze, które zaoszczędziła, powiedzmy na pieczywie, bo kupiła akurat inna bułeczkę, czy coś takiego. I zawsze te pieniądze miała. Mama prowadziła jadłodajnię na Nowej pod nr 11. To była jadłodajnia, która wydawała obiady oraz inne posiłki gorące i zimne. Sprzedawano tam tylko piwo, lemoniadę i herbatę, wódki nie. Śniadań i kolacji jako takich wtedy się nie podawało. Kiedy ktoś przychodził, to prosił dziesięć deko tego, czy tego i na talerz się kładło. Do tego można było zamówić ogórek kwaszony, czy śledzie marynowane. Tu, gdzie teraz jest duży plac między ulicą Świętoduską a Lubartowską, był postój autobusów zamiejscowych. Kierowcy tych autobusów oraz ludzie, którzy przyjeżdżali do Lublina przychodzili do naszej jadłodajni na obiady. Na wakacje jeździło się do Świdnika. Tu, gdzie teraz jest Świdnik, kiedyś były wille. Część willi to było bogatych ludzi: doktor Majewski, chirurg, miał ładną willę. Wiele osób miało te wille. Tak, jak Nałęczów to wyglądało. I wynajmowali mieszkania, puste pokoje, więc wiozło się meble ze sobą, wszystko się wiozło. Płaciło się za całe wakacje 150 złotych, ale nie liczyli że to się przyjedzie i wyjedzie, tylko za całe wakacje. Więc jak się szkoła kończyła mniej więcej koło 15 - 20 czerwca, a któregoś roku jeszcze szkarlatyna panowała w Lublinie, to 15 września się zaczynał rok, to jeszcze żeśmy były do 15 września. I to się nazywało, że to jest letnisko. Mnóstwo rodzin jechało i wynajmowało te mieszkania. Tam były dwa sklepy, a resztę to się wszystko z Lublina woziło pociągiem lub dorożką. Bracia jeździli na rowerach i koledzy ich też na rowerach przyjeżdżali. Trochę trzeba było przywieźć z jedzenia z Lublina. Tam wszystkiego nie było. Mój wuj - Władysław Chmielewski, który był także moim chrzestnym ojcem, był z zawodu mistrzem cukierniczym. Żonaty był ze Stanisławą Frank i mieli kilkoro dzieci, ale czworo tylko wychowało się, ponieważ trójka małych dzieci zmarła. Najstarsza z córek skończyła KUL, wyszła za mąż za syna rejenta Młynarskiego i zamieszkali w majątku za Warszawą. Syn skończył ekonomię w Poznaniu. Trzecia córka Lucyna kończyła romanistykę i wyszła za mąż za profesora

Norywarskiego i żyli w Poznaniu długi czas. Najmłodszy syn - Tadeusz - kończył prawo. Jego syn - Staszek teraz niedawno zmarł. Wujek sam dużo pracował i zawsze pilnował wszystkiego. Wszystko widział, wszystko wiedział co się robiło. Tam nie mogło się zdarzyć, żeby ciastko było czerstwe, ja tego nie pamiętam. Pracowałam u wuja w czasie okupacji i po okupacji troszkę. Wujek mieszkał nad pracownią i kiedy się zadzwoniło na górę, schodził i wykańczał ciasto i ono wędrowało do sklepu. Stoliki miały marmurowe blaty, ciężkie, żelazne okucia, krzesła były twarde i miały czerwone obicia.

Data i miejsce nagrania	2002-09-10, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Grudzińska
Transkrypcja	Marta Grudzińska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"